

Eleganckie trzewiki przeszły brzegiem, morderca o ordynarnem obuwiu, ze szerokimi szpicami przeskoczył ją sobie poprostu. Tu niema żadnej tajemnicy; wszystko polega na zasadach obserwacji i wydawaniu końcowych sądów, jak to twierdziłem w mojej rozprawce. Czy łamie pan sobie głowę jeszcze nad czemś?

— Jak pan może wnioskować o jego paznogiach i twierdzić stanowczo, że palił Trichinopoly-cygaro?

— Morderca zanurzył we krwi długi paznokieć wskazującego palca i pisał tak na ścianie. Litera wyglądały, jakby ktoś drapał po murze. Na podłodze znowu znalazłem troszkę spalonego popiołu, poznałem też zaraz, że to popiół tylko z tego cygara. Popiołom cygar poświęciłem osobne studium, pisałem nawet rozprawę o tem — mogę sobie pochwalić, że umiem każdą sortę cygar na pierwszy rzut oka rozpoznać po specjalnym popiole. W tych specjalnych, a ściśle wiadomościach pokazuje się różnica, jaka zachodzi między prawdziwie inteligentnym detektywem, a sortą do których zaliczam Gregsona i Lestrada.

— Jakżeż pan odgadł jego czerwona cerę?

— To była śmiała hipoteza, której do chwili obecnej należycie nie umiem obronić, jakkolwiek przekonany jestem do głębi, że słuszność po mojej stronie.

Mimowoli chwyciłem się ręką za skroń.

— Dostaję formalnego zawrotu głowy — zawołałem — i im głębiej zastanawiam się nad tą całą historią, tem bardziej zagadkowem mi się to wszystko wydaje. W jaki sposób dostali się oni obaj — jeśli dwóch ich było — do opustoszałego domu? Co się stało z woźnicą, który ich odwiózł? Jak mógł zmusić morderca swoją ofiarę do zażycia trucizny? Skąd pochodzą ślady krwi? Co skłoniło tego człowieka do mordu, skoro rabunek nie zachodzi? Czy jest słubny złoty pierścień? W jakim celu napisał morderca tajemnicze słowo „Zemsta“, nim się rzucił do ucieczki? — Aby ktoś był w stanie pogodzić to wszystko i wskazać pewną drogę wyjścia, śmiem mocno powątpiewać!

Przyjaciół mój zaśmiał się uradowany.

— Wszystkie trudności naszego położenia zebrał pan w jedną krótką całość — odparł. — Rzecz cała jasną już jest dla mnie, nie mam tylko paru szczegółów. Słowo, odkryciem którego tak się Lestrade chełpił, jest mojem zdaniem, tylko wojennym podstępem, aby policyę na fałszywe tory wprowadzić, że zemsty dokonano w porozumieniu z jakimś tajemnym stowarzyszeniem. — No wiele pan wie — panie Watsonie! — teraz będę się jednakowoż strzegł, zdradzić się jeszcze z czemskolwiek. Kuglarz tak długo może pokazywać sztuczki, dopóki nie wyjaśni zasady — skoro jednak wiedza o tem wszyscy — staje w rzędzie najzupełniej przeciętnych ludzi. Podobnie ma się rzecz i ze sprawą obecną!

— Broń Boże! — zawołałem — to nie stanie się nigdy! Badania policyjne podniosłeś pan do wysokości nauki i doprowadziłeś do doskonałości, jakiej nie miała nigdy!

Przyjaciół mój poczerwieniał z radości, słysząc taki wyrok, który wypowiedziałem w tonie najgłębszego przekonania. Już przedtem zauważyłem niejednokrotnie, że chętnie przyjmował każdą z moich pochwał, których nie szczędziłem jego sprytowi.

— Jeszcze coś dodam — zawołał uradowany — eleganckie trzewiki przyjechały w jednej dorożce z ordynarnem obuwiem, morderca szedł bardzo przyjaźnie z ofiarą, może nawet pod ramię. Po pokoju chodzili dość długo, albo powiedziawszy dokładniej: ofiara stała, a morderca chodził po pokoju i popadał w coraz większą wściekłość. Można się było przekonać o tem, badając dokładnie grubą warstwę kurzu. Przytem mówił morderca bez przerwy, gniew jego wzrastał, a w końcu dopuścił się zbrodni. Więcej sam niewiem na razie; zresztą to przypuszczenie może gołosłowne; mam jednak coś, na

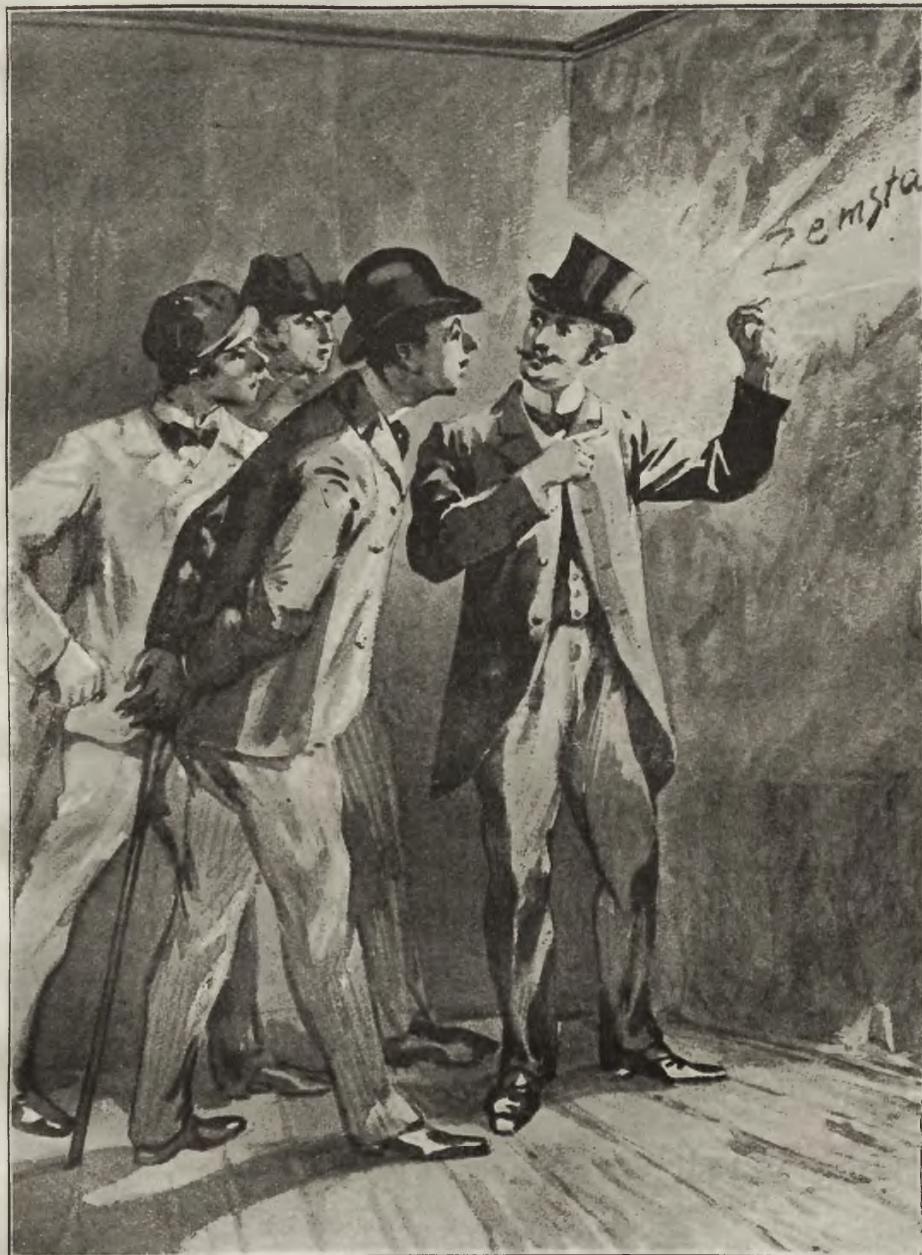
czem mogę pewnie budować. Nie mogę się dłużej zabawić, gdyż dzisiaj wieczorem pójdę na koncert, chciałbym posłyszeć Nerudę.

Dorożka gnała tymczasem z szybkością błyskawicy przez najrozmaitsze wąskie uliczki przedmieścia, aż zatrzymała się wreszcie w okolicy najbardziej brudnej i ponurej.

— Po drugiej stronie Andley Court — zawołał woźnica, wskazując na cały szereg domów — zaczekam, aż panowie powrócą.

Andley Court mało pociągało ku sobie. Wąska uliczka wiodła na duży brukowany podworec, otoczony dokoła ubogimi domkami. Szukając Nr. 46, przechodziliśmy obok całej gromady brudnych, zamazanych dzieci i rozwieszanej bielizny, aż wreszcie spostrzegliśmy na drzwiach nazwisko Rance'a.

Policyant udał się na spoczynek po służbie nocej, proszono nas zatem, do małego przedpokoju, stanowiącego pokój przyjęć. Wkrótce potem zjawił się i Rance, niezadowolony, że zbudzono go ze snu.



...a na murze, który ujrzelismy, wpadło nam w oko jedno jedyne słowo, krwią napisane: „Zemsta“.

— Przecież złożyłem już w biurze zeznanie — mruknął zgryźliwie na powitanie.

Holmes wyciągnął z kieszeni złotówkę i trzymał ją niedbale między palcami.

— Chciałbym to wszystko posłyszeć z ust pańskich, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu — powiedział Holmes dobitnie.

Złoty talizman nie chybił celu.

— Z największą chęcią opowiem panom wszystko jak najdokładniej — zapewniał nas uspokojony Rance.

— Dobrze! Opowiedz pan zatem przebieg całej sprawy!

Policyant zajął miejsce na zrudziałej ze starości kanapie i począł czoło w bruzdy układać.

— Zaczę od początku — odparł. — Moja służba trwała od 10 wieczorem do 6 rano. O jedenastej była mała bitka pod „Białym Jeleniem“, zresztą nic więcej nie miałem do zanotowania. Koło 1 lunął deszcz, a koło 2 mniej więcej szedłem ulicą Brikston, aby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Po drodze nie spotkałem żywej duszy, okolica wyglądała jak martwa, tylko parę dorożek przejechało obok mnie. Pomyślałem sobie

właśnie, że mógłbym się wzmocnić trochę szklanczką gorącego grogu, gdy nagle spostrzegłem jasny płomień w opustoszałym domu. Wiedziałem dobrze, że mieszkanie niezajęte, gdyż właściciel nie postarał się o dokładne zrobienie porządku po śmierci jednego z lokatorów, który umarł na tyfus. Widzę tedy jasny płomień i myślę sobie zaraz, że w tem tkwi coś nie bardzo czystego. Gdy przystąpiłem do drzwi —

— Przystanąłeś pan i poszedłeś z powrotem na ulicę — z jakiego powodu — zapytał Sherlock. Rance przerwał swe opowiadanie i patrzył z podziwem na detektywa.

— Skąd pan wie to wszystko tak dokładnie — mamrotał — rzeczywiście, tak postąpiłem!

Gdy zbliżyłem się bowiem do drzwi pomieszkowania, wszystko spoczywało w tak głębokim spoczynku, że powinno wejść nas już dwóch conajmniej. Wróciłem się, aby popatrzeć, czy nie spotkam czasem na ulicy jakiegoś kolegi z latarnią. Bogiem a prawdą, nie wiem, co to trwoga, jeśli to był jednak ten zmarły lokator, przyjemniej już by było w dwójkę

— Na ulicy nie było nikogo?

— Żywej duszy, łaskawy panie! Psaby nie wypędził na taką pogodę! Dodałem sobie nieco odwagi, zbliżyłem się znowu do drzwi pomieszkowania, pchnąłem je silnie. Panowała tu głucha cisza. Znajdowałem się właśnie w pokoju, w którym widziałem jasny płomień. Na gzymsie kominka stała czerwona świeca i przy jej blasku ujrzałem wtedy...

— Wiem już, co pan zobaczył! Gonisz pan potem po tym tajemniczym pokoju, ukląkłeś nawet przy zwłokach, próbując wpróżd jeszcze drzwi kuchenne wyważyć.

Rance podskoczył zdziwiony do najwyższego z siedzenia.

Skąd pan to wszystko obserwował — zawołał podejrzliwie — gdzieś pan musiałeś skryć się, bo i skądże mógłbyś opowiadać to teraz z taką pewnością siebie.

Towarzysz mój wyjął swój bilet wizytowy i podał go Rance'owi.

— Tylko niech pan zaraz nie myśli, że jestem mordercą i że pan może mnie zaarrestować — odpowiedział z uśmiechem. — Wilkiem nie jestem, przeciwnie, jestem tylko jednym z psów gończych, jak to Lestrade i Gregson poświadczą mogą każdej chwili.

— No, ale cóż dalej, cóż pan w końcu zrobił?

— Wypadłem na ulicę — odpowiedział Rance, zajmując z powrotem miejsce na zrudziałej sofie, nie przestając nam jednak przypatrywać się bacznie — na alarm świstawką nadbiegło trzech moich kolegów.

— Czy na ulicy nie było jeszcze nikogo?

— Tak i nie! To zależy!

— Jak mam to rozumieć?

Policyant zaśmiał się dobrotnie.

— No — ciągnął dalej — wychodząc bramą ogrodową — zauważyłem, że na parkanie wsparł się jakiś człowiek, śpiwając na całe gardło jakąś hulaszczą piosenkę. W życiu widziałem niejednego, który przebrał miarę, tak ululanego jednak, jak ten jegomość przy kracie, miałem przed sobą po raz pierwszy. Nie mógł mi stawiać oporu, gdyż sam stał ledwie na nogach.

— Jak wyglądał ten człowiek — zapytał nagle Holmes.

Zauważyłem, że policyanta gniewało niepotrzebne wypytywanie się.

— To był najzwyczajniejszy pijaczyna, bylibyśmy go też odstawili na policyę, gdyby nie ważniejsza sprawa, jaką musieliśmy się zająć.

— Musiał pan jednak zauważyć twarz jego, jak był ubrany — zawołał zniecierpliwiony Holmes.

— Naturalnie! Murcher i ja musieliśmy wziąć go pod ramię; długi jakiś jegomość o czerwonej cerze, przy brodzie trzymał jakieś sukno i —

— Dobrze już! Dobrze! Co się z nim stało?

(Ciąg dalszy nastąpi).